LEE

CHILD

Jack Reacher

NIC DO STRACENIA

1

Czuł, że słońce grzeje połową swojej mocy, bo wiedział, co to jest prawdziwy skwar. Było jednak wystarczająco gorąco, by odczuwał niepokój i mdłości. Czuł się bardzo osłabiony. Nie jadł od siedemdziesięciu dwóch godzin i nie pił od czterdziestu ośmiu.

To nie było zwykłe wyczerpanie. Umierał i zdawał sobie z tego sprawę.

Obrazy w mózgu zaczęły się rozmazywać. Widział łódź przywiązaną do przystani przegniłą liną; walczyła z silnym prądem rzeki, który w końcu ją pokonał, uwolnił, odciągnął od brzegu. Widział siebie jako małego chłopca skulonego w łodzi, spoglądającego bezsilnie na brzeg rzeki i oddalający się pomost.

A może był to szybowiec unoszony bryzą, zwolniony z uwięzi, powoli szybujący w górę i w dół, z chłopcem w kabinie, obserwującym coraz mniejsze postacie na ziemi, machające, wpatrujące się w niego z zaniepokojonymi twarzami.

W końcu te wyobrażenia zupełnie się rozmyły, bo słowa stały się ważniejsze od obrazów, co było przecież absurdem, skoro nigdy wcześniej nie przejmował się słowami. Lecz zanim umrze, chciał wiedzieć, które należały tylko do niego. Które z nich opisywały go najlepiej? Czy był już dorosly, czy wciąż pozostawał dzieckiem? „Bądź mężczyzną”, ktoś mu powiedział. A inni nalegali: „To nie wstyd zostać chłopcem”. Był wystarczająco dojrzały, by głosować, zabijać i umierać, co czyniło go męż-

czyzną. Ale jednocześnie za młody, by pić alkohol, nawet piwo, co sprawiało, że czuł się jak chłopiec. Czy był odważny, czy może tchórzliwy? Chwalono go za odwagę i wyzywano od tchórzy. Mówiono o nim: niedostosowany, rozkojarzony, obłąkany, niezrównoważony, paranoiczny, zagubiony. Rozumiał to i akceptował, oprócz tego jednego słowa — „niedostosowany". A niby jak miał być „dostosowany" albo „dopasowany"? Jak drzwi do futryny? Może więc wszyscy ludzie byli drzwiami? Może wszystko tylko przez nich przechodziło? Może poruszał nimi wiatr? Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad tą kwestią, wreszcie sfrustrowany odbił wszystkie myśli wyimaginowanym kijem baseballowym. Paplał jak nastolatek zakochany w trawce.

Jeszcze półtora roku wcześniej rzeczywiście nim był.

Osunął się na kolana. Wiedział, że piasek jest zaledwie ciepły, bo przecież nie prażył w nogi. Był jednak wystarczająco gorący, by go ogrzać. Upadł na twarz wyczerpany i wycieńczony do granic. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli zamknie oczy, już nigdy ich nie otworzy.

Ale był bardzo zmęczony.

Tak bardzo, bardzo zmęczony.

Bardziej niż jakikolwiek mężczyzna czy zwykły chłopiec mógłby być zmęczony.

Zamknął oczy.

2

Granicą pomiędzy Nadzieją a Rozpaczą była przerwa w nawierzchni drogi, w miejscu gdzie kończyła się droga jednego, a zaczynała droga drugiego miasteczka. Wydział drogownictwa zarządu miasta Nadzieja pokrył drogę grubą, gładką warstwą asfaltowej nawierzchni. Rozpacz miała najwidoczniej mniejszy budżet miejski. To było widać gołym okiem. Na szutrowe i kamieniste podłoże swojej drogi wylali zwykłą smołę. W miejscu połączenia tych dwóch nawierzchni powstał uskok o szerokości kilku centymetrów wypełniony czystym lepikiem. Taka jakby przerwa dylatacyjna. Granica. Linia. Jack Reacher przekroczył ją jednym krokiem i szedł dalej. Nawet nie zwrócił na nią większej uwagi.

Dopiero później sobie ją przypomniał. Dopiero później odtworzył ją w pamięci z najdrobniejszymi szczegółami.

Miasteczka Nadzieja i Rozpacz leżały w stanie Kolorado. Reacher znalazł się w Kolorado, bo dwa dni wcześniej był w stanie Kansas, a przecież Kolorado graniczy z Kansas. Kierował się na południowy zachód. Przebywał wtedy w Calais, w stanie Maine, gdy przyszła mu do głowy myśl, by przejechać całe Stany na ukos, z Maine aż do San Diego w Kalifornii. Calais było najważniejszym miasteczkiem na północnym wschodzie kraju, a San Diego najważniejszym i największym miastem na południowym zachodzie. Z jednego najbardziej wysuniętego miejsca do drugiego. Znad Atlantyku nad Pacyfik. Z zimna

i wilgoci w ciepło i suche powietrze. Jechał autobusem, jeśli miał połączenie, i łapał okazję, kiedy go nie miał. Gdy nie mógł złapać okazji, szedł pieszo. Do Nadziei podwiózł go emerytowany sprzedawca guzików swoim mercurym grand marquis w kolorze butelkowej zieleni. Stamtąd wyruszył pieszo, bo tego ranka w kierunku Rozpaczy nie jechał żaden samochód.

Ten fakt też sobie później przypomniał. I zastanawiał się, dlaczego nie było żadnego ruchu w kierunku Rozpaczy?

Jeśli już chodzi o ten jego wielki plan przemierzenia kraju po przekątnej, to trochę zboczył z kursu. Właściwie powinien był kierować się na południowy zachód i przekroczyć granicę stanu Nowy Meksyk, ale nie podchodził zbyt skrupulatnie do swoich planów podróży. Model Grand Marquis był bardzo komfortową limuzyną, a staruszek sklepikarz jechał prosto do Nadziei odwiedzić trójkę wnucząt. Później miał zamiar udać się do Denver, by odwiedzić kolejną czwórkę. Reacher cierpliwie wysłuchiwał rodzinnych historii i całkowicie pogodził się z tym, że zrobi taki mały objazd i pojedzie najpierw na zachód, a dopiero później skieruje się na południe. Może te boki trójkąta, które miał do pokonania, okażą się ciekawsze od zaledwie jednego boku? Znalazłszy się w Nadziei, spojrzał na mapę i widząc, że do Rozpaczy jest zaledwie dwadzieścia kilka kilometrów, nie mógł oprzeć się chęci dodatkowego objazdu. W wyobraźni chyba już nawet dwukrotnie pokonywał tę właśnie trasę. Teraz doszedł do wniosku, że plany należy dostosować do rzeczywistości, szczególnie że los dał mu taką możliwość.

To też sobie później przypomniał.

Droga pomiędzy dwoma miasteczkami była prostą jak drut dwupasmową szosą. Delikatnie się wznosiła i kierowała na zachód. Nic specjalnego. Ten skrawek zachodniego Kolorado był zdecydowanie płaski. Zupełnie jak Kansas. Choć Jack dostrzegał wypiętrzone Góry Skaliste — niebieskawe, potężne i rozmyte daleko na linii horyzontu. Choć wydawało się, że są bardzo blisko, rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Reacher wspiął się na wzniesienie i stanął jak wryty. Teraz zrozumiał, dlaczego jedno miasteczko nazywało się Nadzieja, a drugie Rozpacz. Osadnicy przemierzający kraj ze wschodu na zachód

sto pięćdziesiąt lat temu zatrzymywali się w miejscu, które zaczęto nazywać Nadzieją, widząc niemal na wyciągnięcie ręki ostatnią wielką przeszkodę do pokonania. Potem po dniu, tygodniu lub miesiącu przerwy ruszali w drogę, dochodząc do tego samego wzniesienia, i dostrzegali, że ów pozornie bliski widok Gór Skalistych był okrutnym psikusem wyrządzonym przez topografię terenu, złudzeniem optycznym, załamaniem światła. Ze szczytu wzniesienia ostatnia przeszkoda do pokonania okazywała się znowu tak samo odległa, a nawet jeszcze bardziej nieosiągalna, rozpościerając się setki kilometrów dalej za niekończącymi się równinami. Może zaczynała się za tysiącami kilometrów, choć to też mogło być złudzeniem. Reacher obliczył, że tak naprawdę pierwsze spore szczyty znajdowały się w odległości około trzystu kilometrów. Długi miesiąc marszu i wleczenia się wozów zaprzężonych w muły przez pozbawioną charakterystycznych cech dziką roślinność, po pojawiających się od czasu do czasu przetartych koleinach wytłoczonych dziesiątki lat wcześniej przez innych podróżników. Albo półtora miesiąca marszu w niesprzyjającej porze roku. W kontekście całej wędrówki może nie była to jakaś wielka tragedia, ale z pewnością gorzkie rozczarowanie, wstrząs wystarczająco silny, by pełnych nadziei, niespokojnych i niecierpliwych podróżników pogrążyć w rozpaczy w czasie wystarczającym na przeniesienie wzroku z jednej krawędzi horyzontu na drugą.

Reacher zszedł z chropowatej nawierzchni drogi należącej do okręgu miasta Rozpacz i przeszedł przez pas suchej i spękanej ziemi do wystającej skały wielkości samochodu, płaskiej jak ława. Rozciągnął się na niej na wznak, splótł ręce pod głową i wpatrywał się w niebo. Było bladobłękitne, poprzecinane długimi pierzastymi chmurami, które mogły powstać jakiś czas temu jako ślady odrzutu z silników przelatującego samolotu transkontynentalnego. Dawniej pewnie zapaliłby papierosa, by zabić czas. Ale rzucił palenie. Ten nałóg wymagałby noszenia ze sobą przynajmniej jednej paczki papierosów i zapałek, a przecież Reacher już dawno temu przestał targać ze sobą rzeczy, których nie potrzebował. W kieszeniach nie miał nic poza gotówką, nieważnym paszportem, kartą bankomatową i składaną

szczoteczką do zębów. Nigdzie też nic na niego nie czekało. Nie wynajmował żadnej przechowalni na swoje rzeczy, nie trzymał niczego u kolegów. Wszystko, co miał, to zawartość kieszeni, rzeczy, w które był ubrany, i buty na nogach. Właśnie tyle mu wystarczało. Wszystko, czego potrzebował, i nic, czego nie potrzebował.

Podniósł się i stanął na palcach. Za nim, na wschodzie, rozciągała się niecka o rozpiętości mniej więcej dwudziestu kilometrów. Prawie w jej centrum leżało miasteczko Nadzieja. Obszar może dziesięciu na sześć kwartałów zabudowanych murowanymi domami otaczały farmy, stodoły i zabudowania gospodarcze z drewna i blachy falistej. Razem tworzyły ciepłą rozmazaną plamę przebijającą się przez mgiełkę z nagrzanego powietrza. Przed nim, na zachodzie, gdzie rozciągały się dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych płaskiego terenu, zupełnie pustego, poprzecinanego wstążkami odległych dróg, leżało miasteczko Rozpacz oddalone od niego mniej więcej o piętnaście kilometrów. Rozpacz było trudniej dostrzec niż Nadzieję. Mgiełka na zachodzie wyglądała na gęstszą. Choć szczegóły pozostawały niewidoczne, to miasteczko wydawało się większe od Nadziei. Miało kształt kropli z obowiązkowym placem targowym w centrum, lekko na południe od głównej drogi. Za centrum musiała leżeć dzielnica przemysłowa, bo spowijał ją smog. Rozpacz wyglądała mniej przyjemnie od Nadziei. Z oddali wydawała się zimna w odróżnieniu od swojej ciepłej sąsiadki; szara tam, gdzie Nadzieja była kolorowa. Rozpacz nie zachęcała do odwiedzin. Przez krótką chwilę Reacher zastanawiał się nad powrotem do Nadziei i wyruszeniem stamtąd bezpośrednio na południe, ale odrzucił tę myśl, zanim zdążyła się w pełni ukształtować w jego umyśle. Reacher nie cierpiał zawracać. Lubił przeć do przodu, nie oglądać się za siebie. Życie każdego człowieka wymagało jakiejś głównej zasady postępowania, a właśnie nieustanny ruch przed siebie stał się zasadą Reachera.

Później Jack był zły sam na siebie za swój brak elastyczności.

Zszedł ze skały i poszedł na ukos po piasku, dochodząc do asfaltowej drogi jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, w którym z niej zboczył. Trzymając się lewej strony, szedł spokojnie

wydłużonym krokiem, trochę szybciej niż pięć kilometrów na godzinę. Wybrał lewą stronę szosy dla większego bezpieczeństwa. Nie było jednak żadnego ruchu. W żadną stronę. Droga była zupełnie pusta. Żadnych pojazdów. Żadnych samochodów, żadnych ciężarówek. Nic. Ani jednej szansy na złapanie okazji. Reacher był tym trochę zaskoczony, ale w sumie wcale się nie przejmował. Wiele razy w swoim życiu pokonywał ponaddwudziestokilometrowe dystanse. Zaczesał palcami do tyłu włosy opadające mu na czoło. Zdjął koszulę i zarzucił ją sobie na plecy. Szedł dalej w kierunku bliżej nieokreślonej przyszłości.

3

Przedmieście zaczynało się pustym placem, na którym pewnie planowano coś wybudować ze dwadzieścia lat temu, ale nic z tego nie wyszło. Dalej był motel — zamknięty, podniszczony, może zupełnie opuszczony. Po drugiej stronie ulicy, pięćdziesiąt metrów na zachód, stała stacja benzynowa. Dwa stare dystrybutory paliwa. Nie takie antyczne, typowo wiejskie, jak na obrazach Edwarda Hoppera, ale i tak kilka generacji wcześniejsze od współczesnych. Z tyłu znajdował się mały pawilon z oknem z brudną, zatłuszczoną szybą. Na parapecie ustawiono kanistry z olejem, ustawione jeden na drugim w kształt piramidy. Reacher podszedł do pawilonu i wcisnął głowę w otwarte drzwi. W środku było ciemno, a powietrze intensywnie pachniało kreozotem i ciepłym surowym drewnem. Za ladą stał facet w wytartym i brudnym kombinezonie. Mniej więcej trzydziestoletni, szczupły.

— Macie kawę? — spytał go Reacher.

— To stacja benzynowa — odpowiedział typek.

— Stacje benzynowe sprzedają kawę, wodę i napoje — odparł Jack.

— Ale ta nie — oznajmił sprzedawca. — Ta sprzedaje benzynę.

— I olej.

— Jeśli jest komuś potrzebny.

— A czy macie jakąś kawiarnię w miasteczku?

— Jest restauracja.

— Tylko jedna?

— Jedna nam zupełnie wystarcza.

Reacher wycofał się na światło dzienne i odszedł. Jakieś sto metrów dalej obok jezdni pojawiły się chodniki, a droga zmieniła się w ulicę Main Street, jak głosiła nazwa na słupie. Trzydzieści metrów dalej po lewej stronie pojawił się normalny zabudowany kwartał miejski. Jego głównym elementem składowym był odpychający, murowany, dwupiętrowy budynek. Dawniej mógł to być skład suszonej żywności. Teraz też chyba pełnił jakąś handlową funkcję. Przez zakurzone szyby Reacher dostrzegł trzech klientów, rulony tkanin i plastikowe naczynia domowe. Obok był następny, identyczny dwupiętrowy budynek z cegły, i następny, i jeszcze następny. Centrum miasteczka stanowiło jakieś dwanaście na dwanaście zabudowanych kwartałów, głównie na południe od Main Street. Jack Reacher nie był znawcą architektury, a zdając sobie sprawę z tego, że jest daleko na zachód od Missisipi, pomyślał, że to miejsce przypomina mu miasteczko przemysłowe w stanie Connecticut albo zabudowania portowe Cincinnati. Było zwykłe, surowe, szare i przestarzałe. Oglądał filmy o małych miasteczkach Ameryki, gdzie fronty budynków i ulice przyozdabiano kunsztownie do filmowania, by wyglądały bardziej kolorowo i żywiołowo oraz by zakryć szarą rzeczywistość. To miejsce było ich dokładnym przeciwieństwem, jakby jakiś scenarzysta i cała grupa asystentów planu strasznie się postarali, by miasteczko wyglądało jeszcze bardziej ponuro i niechlujnie niż zwykle. Na ulicach był niewielki ruch. Samochody osobowe i pick-upy wlokły się bez pośpiechu. Żaden z nich nie miał mniej niż trzy lata. Kilku przechodniów snuło się na chodnikach.

Reacher skręcił bez namysłu w lewo i postanowił znaleźć obiecaną restaurację. Zanim do niej dotarł, przeszedł ze dwanaście przecznic, minął sklep spożywczy, zakład fryzjerski, bar, kamienicę z pokojami do wynajęcia i wyblakły stary hotel. Restauracja zajmowała cały parter jednej z tych nudnych ceglanych kostek wypełniających kwartały ulic. Wnętrze miało wysoki sufit, a większość ścian była przeszklona od ziemi do sufitu. Całkiem możliwe, że mieścił się tu kiedyś salon samochodowy.

Podłoga została wyłożona płytkami, stoły i krzesła były proste, brązowe i drewniane i pachniały gotowanymi warzywami. Tuż za drzwiami stała mała lada recepcyjna z mosiężną tabliczką umocowaną na nóżce przyczepionej do ciężkiej podstawy. Tabliczka głosiła: „Proszę czekać na wskazanie stolika". Takie same tabliczki widział we wszystkich restauracjach, od oceanu po ocean. Ta sama treść, ten sam odcień mosiądzu, ten sam kształt. Domyślił się, że pewnie jakaś firma handlująca wyposażeniem restauracji musiała sprzedać ich miliony. Identyczne stały w restauracjach w Calais, w Maine. Spodziewał się, że zobaczy je jeszcze w San Diego w Kalifornii. Stał przy ladzie i czekał.

I czekał.

W środku było jedenastu klientów. Wszyscy jedli. Trzy pary, trójka znajomych i dwa single. Jedna kelnerka. Nikt przy barze. Nikt przy ladzie recepcyjnej. W sumie nic niezwykłego. Reacher jadał w tysiącach podobnych miejsc i znał ich rytm pracy. Jedyna kelnerka wkrótce odwróci się do niego i skinie głową na przywitanie, jakby mówiła: „Zaraz do pana podejdę". Przyjmie zamówienie, przyniesie danie na talerzu i zniknie, poprawiając opadający na policzki kosmyk włosów w geście będącym zarówno przeproszeniem, jak i prośbą o zrozumienie. Weźmie kartę dań i zaprowadzi go do stolika, po czym ucieknie, by przybyć ponownie i powtórzyć typowy rytuał z zamawianiem.

Ale tutaj kelnerka nie zachowała się w taki sposób.

Owszem, spojrzała w stronę Jacka, ale nie skinęła głową. Popatrzyła na niego przez długą sekundę i odwróciła wzrok. Zajęła się tym, co robiła wcześniej. A wcześniej w zasadzie niewiele robiła. Cała jedenastka była już spacyfikowana, a ona po prostu wymyślała sobie pracę. Zatrzymywała się przy stolikach i pytała klientów, czy wszystko jest w porządku, dolewała im kawy, jeśli było jej mniej niż na dwa centymetry od krawędzi filiżanki. Reacher odwrócił się, by sprawdzić, czy może nie pomyliły mu się godziny otwarcia restauracji. Może właśnie mieli zamykać? Nie. Dodatkowo sprawdził swoje odbicie w lustrze, czy nie popełnia strasznego społecznego wykroczenia swoim ubiorem. Ale nie. Miał na sobie ciemnoszare spodnie i pasującą do nich ciemnoszarą koszulę, odzież kupioną dwa dni wcześniej

w sklepie z ubraniami roboczymi w Kansas. Sklepy z ubraniami roboczymi były jego najnowszym odkryciem. Zwykłe, mocne, dobrze uszyte ciuchy za rozsądną cenę. Wyglądał doskonale. Włosy krótkie i zaczesane. Golił się poprzedniego ranka. Rozporek miał zasunięty.

Odwrócił się i czekał.

Goście restauracji zaczęli mu się przyglądać. Jeden po drugim. Całkiem otwarcie lustrowali go wzrokiem i wracali do jedzenia. Kelnerka powoli zrobiła swoją rundę po całej sali, patrząc wszędzie, byle nie na niego. Stał nieruchomo, analizując sytuację w swojej mózgowej bazie danych, starając się ją zrozumieć. Wreszcie stracił cierpliwość, minął tabliczkę, wszedł na salę i usiadł przy stoliku dla czterech osób. Kelnerka obserwowała jego zachowanie i po chwili wyszła do kuchni.

Już nie wróciła.

Reacher siedział i czekał. Na sali panowała cisza. Żadnych rozmów. Żadnych dźwięków, poza cichym metalicznym szuraniem sztućców po talerzach, mlaskaniem, ceramicznym stukiem filiżanek powoli opuszczanych na talerzyki i drewnianym trzeszczeniem nóg krzeseł pod ciężarem ludzi zmieniających pozycję. Można było odnieść wrażenie, że te drobne hałasy potęgowały się i poprzez olbrzymią powierzchnię płytek podłogowych, aż do momentu gdy wydawały się wręcz przerażająco głośne.

Nic się nie wydarzyło przez prawie dziesięć minut.

Wtedy pod restaurację podjechał stary pick-up z podwójną kabiną pasażerską i zatrzymał się przed samymi drzwiami. Po sekundzie z samochodu wysiadło czterech facetów. Przez chwilę tworzyli zbitą formację na chodniku, po czym weszli do restauracji. Zatrzymali się na moment i rozglądali po sali, dopóki nie odnaleźli swojego celu. Podeszli od razu do stolika, przy którym siedział Reacher. Trzech z nich usiadło na wolnych krzesłach, czwarty stał u szczytu stołu, blokując Reacherowi drogę ucieczki.

4

Ci czterej faceci byli słusznego wzrostu, najniższy z nich miał ze sto osiemdziesiąt centymetrów, a najlżejszy ważył pewnie około dziewięćdziesięciu kilogramów. Silne dłonie, grube nadgarstki i umięśnione ramiona. Dwóch z nich miało złamane nosy; żaden nie mógł się pochwalić pełnym uzębieniem. Byli bladzi i ogólnie wyglądali niezbyt zdrowo. Brudne ubrania uzupełniał brud przylepiony do zagłębień skóry, który połyskiwał i odbijał światło jak metal. Mieli na sobie płócienne koszule robocze z rękawami podwiniętymi powyżej łokci. Ich wiek można by zamknąć w granicach od trzydziestu do czterdziestu lat. Wyglądali, jakby lubili sprawiać ludziom kłopoty.

— Nie potrzebuję towarzystwa. Wolę jeść w samotności — oświadczył Reacher.

Ten stojący u szczytu stołu był największy z całej czwórki, może o parę centymetrów i jakieś pięć kilogramów.

— Nie dostaniesz tu nic do jedzenia.

— Nie? — zdziwił się Reacher.

— Nie, nie tutaj.

— Ale to jest jedyna knajpa w tym mieście.

— To prawda.

— No więc jak to?

— Zabieraj się stąd.

— Zabieraj się?

— Spadaj!

— Skąd?
— Z tej restauracji!
— A niby dlaczego?
— My nie lubimy obcych.
— Ja też nie, ale muszę gdzieś zjeść, bo zasuszę się i będę wyglądał tak chuderlawo jak wasza cała czwórka — stwierdził Reacher.
— Dowcipniś z ciebie.
— Mówię, jak jest — odparł Reacher.
Położył dłonie na blacie stołu. Ważył o piętnaście kilo więcej od największego z nich i przewyższał go wzrostem o co najmniej pięć centymetrów. Nad pozostałymi miał oczywiście większą przewagę. Chętnie założyłby się też o to, że ma trochę więcej doświadczenia w takich sprawach i znacznie mniej oporów wobec działania niż każdy z nich. Albo nawet niż wszyscy razem wzięci. Jednak podsumowując, może się okazać, że postawi swoje sto piętnaście kilogramów przeciwko ich czterystu. Niezbyt dobre równanie. Ale Reacher nie lubił się wycofywać.
— Nie chcemy cię tutaj — odezwał się facet stojący przy stole.
— Myślę, że mylicie mnie z kimś, kto nie ma w dupie waszych zachcianek — odparł Reacher.
— Nikt tu cię nie obsłuży.
— Czyżby?
— Nie licz na to.
— To ty zamów za mnie.
— I co wtedy?
— Wtedy zjem twój lunch.
— Dowcipny jesteś. Ale musisz już stąd wyjść — powtórzył swoją kwestię stojący mężczyzna.
— Dlaczego?
— Wynocha stąd!
— A wy macie jakieś nazwiska? — zapytał Reacher.
— Nie dla ciebie. Wynocha!
— Jeśli mam stąd wyjść, to muszę to usłyszeć od właściciela. Nie od was.
— Możemy to załatwić.
Facet stojący przy stole skinął głową do jednego z siedzących,

a ten odsunął krzesło, wstał i skierował się do kuchni. Jakąś minutę później wrócił z mężczyzną przepasanym poplamionym fartuchem. Gość w fartuchu wycierał ręce w ścierkę do naczyń i nie wyglądał na szczególnie przejętego ani zastraszonego. Podszedł prosto do stolika Reachera i powiedział:

— Proszę, by opuścił pan moją restaurację.

— Ale dlaczego? — domagał się wyjaśnienia Jack.

— Nie muszę się panu tłumaczyć.

— Pan jest właścicielem?

— Tak.

— Dobra. Wyjdę, jak dostanę filiżankę kawy — zaproponował Reacher.

— Nie, wyjdzie pan teraz.

— Czarną, bez cukru.

— Nie chcę tu kłopotów.

— Wy już macie kłopoty. Jeśli dostanę filiżankę kawy, to wyjdę. Jeśli zostanę obsłużony, a ci goście będą próbowali wyrzucić mnie stąd siłą, to ty spędzisz resztę dnia, ścierając krew z podłogi, i całe jutro na kupowaniu nowych krzeseł i stołów.

Facet w fartuchu nic nie odpowiedział.

— Czarną, bez cukru — powtórzył Reacher.

Stał osłupiały i dopiero po dłuższej chwili ruszył w stronę kuchni. Po minucie pojawiła się kelnerka z filiżanką balansującą na spodeczku. Przeszła przez całą salę i postawiła ją przed Reacherem tak ostentacyjnie, że trochę kawy wylało się na talerzyk.

— Smacznego — powiedziała.

Reacher uniósł filiżankę i wytarł jej spód o mankiet koszuli. Potem położył ją na stole i przelał do niej rozlaną kawę z talerzyka. Odłożył filiżankę na talerzyk i równo ustawił zestaw przed sobą na stole. Powtórnie uniósł filiżankę, tym razem do ust, i upił trochę kawy.

Wcale nie taka zła, pomyślał. Trochę za słaba, trochę za długo parzona, ale jak na komercyjną kawę to nawet niezły aromat. I tak była lepsza niż w większości jadłodajni, ale gorsza niż w dobrych kafeteriach. Plasował ją w samym środku skali. Filiżanka była wykonana z porcelany koszmarnej jakości, z kra-

wędzią grubą niemalże na centymetr. Przez to kawa szybko traciła temperaturę. Reacher nie uważał się za znawcę porcelany, ale uważał, że filiżanka czy kubek powinny być dopasowane do ich zawartości.

Czterej mężczyźni nadal go otaczali. Dwóch z nich siedziało, a dwóch stało. Reacher ignorował ich całkowicie i spokojnie pił kawę, początkowo powoli, a potem trochę szybciej, bo błyskawicznie stygła. Wypił do końca i odłożył filiżankę na spodeczek. Odsunął ją od siebie powoli i ostrożnie, aż talerzyk z filiżanką znalazł się na środku stołu. Szybkim ruchem cofnął lewą rękę i sięgnął do kieszeni. Faceci aż podskoczyli. Reacher wyjął jednodolarowy banknot, rozprostował go i wsunął pod talerzyk.

— No to chodźmy — mruknął.

Mężczyzna stojący u szczytu stołu usunął się z drogi. Reacher wstał z krzesła. Jedenastu gości restauracji przyglądało mu się w milczeniu. Eleganckim ruchem wsunął krzesło pod stół, ominął czterech mężczyzn i skierował się do drzwi. Czuł, że zbierają się za nim. Usłyszał stukanie butów o posadzkę. Posuwali się gęsiego między stolikami, minęli ladę recepcyjną. Na sali było zupełnie cicho.

Pchnął drzwi i wyszedł na ulicę. Zrobiło się chłodno, mimo że słońce jeszcze nie zaszło. Chodnik był ułożony z betonowych płytek o wymiarze dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów połączonych czarnym cementowym spoiwem o szerokości dwóch centymetrów.

Reacher skierował się w lewo i zrobił cztery kroki, by nie stać za blisko zaparkowanej półciężarówki, zatrzymał się i odwrócił, mając za plecami popołudniowe słońce. Mężczyźni stanęli przed nim w szeregu w blasku promieni słonecznych świecących im prosto w oczy. Facet, który wcześniej stał u szczytu stołu, znowu odezwał się pierwszy:

— Wynocha stąd!

— Przecież wyszedłem z restauracji — odparł Jack.

— Wynoś się z miasta!

Reacher milczał.

— Skręć w lewo, czwarta przecznica to Main Street. Jak

tam już dojdziesz, to skręć w lewo lub w prawo, na zachód lub na wschód. Gdzie chcesz. Tylko idź dalej.

— Wy ciągle to robicie na tych terenach? — zapytał Reacher.

— Co robimy?

— Wyrzucacie ludzi z miasta?

— Jasne.

— A może powiecie mi dlaczego?

— Nie musimy ci się z niczego tłumaczyć.

— Dopiero tu przyjechałem — wyjaśnił Reacher.

— Więc?

— Więc zostaję.

Facet z końca szeregu podwinął rękawy koszuli nad łokcie i zrobił krok do przodu. Miał złamany nos, braki w uzębieniu. Reacher spojrzał na jego nadgarstki. Ich szerokość zdawała się jedynym miarodajnym wskaźnikiem wrodzonej siły człowieka. Te były szerokie i grube jak pień młodego dębczaka.

— Zaczepiacie niewłaściwego faceta — rzucił Reacher.

— Taki jesteś mądry? — odparł ten, który mówił za całą czwórkę.

Jack skinął głową.

— Muszę was ostrzec. Dawno temu złożyłem mojej matce pewną obietnicę. Prosiła, żebym dawał zaczepialskim szansę, by mogli odejść w pokoju.

— Jesteś aż takim maminsynkiem?

— Ona lubiła fair play.

— Nas jest czterech. Ty sam jeden.

Reacher miał opuszczone ręce, rozluźnione, z nieznacznie zaciśniętymi pięściami. Stopy w lekkim rozkroku, dającym bezpieczne oparcie. Przez podeszwy czuł twardy beton chodnika. Płyty były chropowate. Tuż przed wyschnięciem w betoniarni, pewnie jakieś dziesięć lat temu, podrapano je szczotką dla uzyskania takiej faktury. Reacher zwinął palce lewej dłoni w pięść, trzymając końce palców płasko, jakby coś w niej chował. Podniósł ją bardzo powoli i trzymał wyprostowaną na wysokości barków wewnętrzną stroną w ich kierunku. Faceci patrzyli na dłoń jak zahipnotyzowani. Sposób, w jaki ułożył zwinięte palce, sugerował, że coś w niej trzyma. Ale co? Rozchylił szybko

palce. Nic tam nie miał. W tym samym ułamku sekundy ustawił ciało bokiem i wyprowadził uderzenie prawą ręką, trafiając faceta, który wyszedł do przodu, potężnym hakiem w szczękę. Ze względu na złamany nos mężczyzna oddychał przez usta, a potwornie silny cios od dołu zatrzasnął mu szczękę i wyrzucił go w powietrze. Facet wylądował płasko na chodniku jak pacynka teatralna, której nagle ktoś uciął sznurki. Stracił przytomność, zanim zdążył zwalić się na beton chodnika.

— Teraz jest was już tylko trzech — oznajmił Reacher. — A ja nadal sam.

Nie byli wcale amatorami. Szybko i prawidłowo zareagowali, rozsuwając się na boki i formując półokrąg. Pochylili się na lekko ugiętych nogach i zacisnęli pięści.

— Nadal możecie odejść — zaproponował Reacher.

Facet, który przemawiał, odparł:

— Nie mamy zamiaru.

— Jesteście za słabi.

— Miałeś szczęście.

— Tylko cieniasy dają się złapać na taki cios.

— Więcej go nie powtórzysz.

Reacher milczał.

— Wynocha z miasta. Nie poradzisz sobie z nami trzema — straszył napastnik.

— Spróbuję.

— Nie dasz rady.

Jack skinął głową.

— Może masz rację. Może jeden z was zostanie na nogach, by mnie dopaść.

— Masz to jak w banku.

— Tylko musisz sobie zadać pytanie, który z was będzie tym ostatnim? Teraz trudno jest cokolwiek wydedukować. Jeden z was będzie musiał odwieźć pozostałych do szpitala na półroczną rekonwalescencję. Tak bardzo chcecie, bym się wynosił, że jesteście gotowi zaryzykować?

Milczeli. Pat. Reacher planował w myśli następne ruchy. Kopnięcie prawą nogą w krocze faceta z lewej, półobrót i uderzenie środkowego gościa łokciem w głowę, przykucnięcie, by

uniknąć nadciągającego ciosu od faceta z prawej, i przywalenie mu łokciem w nerki. Raz, dwa, trzy i po sprawie. Mógłby zakończyć akcję kilkoma kopnięciami i ciosami łokciem. Największą trudność może mu sprawić ograniczenie uszkodzeń ich ciał. Z tym trzeba być ostrożnym. Zawsze to jednak lepiej pozostać po tej właściwej stronie cienkiej granicy prawa; lepiej być oskarżonym o bójkę i pobicie niż o zabójstwo.

Pojedynek jakby zamarł. Reacher stał wyprostowany i odprężony, trzej mężczyźni lekko pochyleni, czwarty leżał nieruchomo na chodniku, krwawił, ale oddychał. Reacher dostrzegł w oddali zwykłych ludzi idących w różnych kierunkach, by załatwić swoje sprawy.

Sedany i pick-upy wlokły się ulicami, zatrzymując się na skrzyżowaniach dróg równorzędnych przed znakiem stopu.

Nagle Jack zobaczył jeden szczególny samochód, który przeleciał przez takie właśnie skrzyżowanie bez zatrzymywania się i jechał prosto w ich kierunku. To był biało-złoty ford crown victoria. Z przodu miał czarny taran, na dachu koguty, a na bagażniku anteny. Na drzwiach namalowano tarczę i litery DPR. Departament Policji w Rozpaczy. Przez szybę można było dostrzec solidnie zbudowanego gliniarza w beżowej kurtce.

— Za wami — odezwał się Reacher. — Nadciąga kawaleria.

Sam nie zrobił ani kroku. Cały czas patrzył na trzech mężczyzn. Przyjazd gliniarza nie gwarantował absolutnie niczego. Jeszcze nie w tej chwili. Ci trzej nadal mogli nagle ruszyć do ataku. Pewnie mieli już tyle bójek na koncie, że nie miało to dla nich większego znaczenia. Ach, te małe miasteczka. Reacher wiedział z własnego doświadczenia, że w każdym z nich mieszkały jakieś powariowane dupki.

Radiowóz zahamował ostro przy krawężniku. Otwarły się drzwi. Policjant wyciągnął z kabury między siedzeniami strzelbę do rozpędzania demonstrantów, przeładował ją charakterystycznym pompującym ruchem i przytrzymał na wysokości klatki piersiowej. Był potężnie zbudowany. Biały, mógł mieć ze czterdzieści lat. Czarne włosy. Byczy kark. Beżowa kurtka, brązowe spodnie i odcisk na czole od kapelusza, który pewnie teraz spoczywał na siedzeniu pasażera. Stanął za trzema napastnikami

i rozejrzał się dookoła, oceniając sytuację. Było oczywiste, że nie wyglądało to na spotkanie przyjaciół, pomyślał Reacher. Trzech facetów okrążających czwartego? Przecież nie zebrało im się na rozmowę o pogodzie.

— Odsunąć się! — rozkazał gliniarz głębokim, pełnym autorytetu głosem.

Mężczyźni się rozstąpili. Funkcjonariusz wyszedł przed nich, a oni z powrotem zajęli poprzednie pozycje, stojąc za jego plecami. Policjant wycelował broń prosto w klatkę piersiową Reachera.

— Jesteś aresztowany — powiedział.